

W kraju palm i słońca – 6

25 października 2022

Reportaż Artura Gruszeckiego z roku 1890 z emigracji Polaków do Brazylii. Pisownia oryginalna z tamtej epoki.

W drodze na kolonie

Ale dość już tych Parańczyków, ich kuchni, ich stolicy Kurytyby – na kolonie! „Mnie tu nuda zabije...” zwłaszcza w towarzystwie zawsze dobrego i słodkiego ks. Anzelma.

Być może, iż systematyczność jest dobra, pożądana, konieczna, iż jest zaletą, łaską, cnotą... ale jest ona zabójcza, gdy się z nią żyje w małżeństwie, i w dzień, i w nocy.

Codziennie ks. Anzelm budzi się o godz. 5 rano, przemawia do mnie cicho, głośniej, jeszcze głośniej, wreszcie budzi.

– Kochany pan trzyma źle głowę; zbudziłem, bo to szkodzi, o, bardzo szkodzi!

Albo też:

– Mamy dzisiaj prześliczny dzionek.

Albo:

– Pająk był tuż nad kochanym panem.

Następnie wstaje, chodzi boso, jako zwolennik metody Kneippa, modli się, a o godzinie 5 min. 30 zaczyna się umywanie, wycieranie, spluwanie, płukanie, przebieranie; i tak z zegarkiem w rękę, dzień w dzień, o minutę nie chybi, a również pytania:

– Jak się kochanemu panu spało?... Jak zdrowie?... Radzę wziąć pigułkę, mam zapas z Bostonu... A może chininy, tylko połknąć, febra to choroba niebezpieczna... A może kropelkę esencji

koprowej, doskonała na... uwolnienie się od złego powietrza w żołądku.

I te nieustanne uwagi higieniczne przy jedzeniu:

– Tego nie radzę jeść... O, proszę nie pić... Na to nie pozwolę, z tego ból... żołądka... głowy... serca... oczu... rąk i nóg...

Oczywista, wszyscy i wszystko, jest lepsze, doskonalsze, zdrowsze... „u nas w Texas... u nas w Bostonie... u nas w Chicago...”, a przy tym zawsze łagodny, dobry, poczciwy i oszczędny.

Z Brazylijczykami trzeba się koniecznie targować: to zasada, której trzyma się stale, i pierwsze słowa po usłyszeniu ceny są nieodmienne: o muito caro! (za drogo) – jedyny frazes brazylijski, którego się nauczył dotychczas.

Kolej do Rio Negro (161 km), posiadając zagwarantowane od rządu 7%, nie dba zupełnie o rozwój i pociągi osobowe wysyła co drugi dzień. Z tego powodu zawsze ścisk na kolei i pogoń za miejscem. Nie mogąc dostać się do kasy, uprosiłem księdza Anzelma, by kupił bilet i dla mnie. Ksiądz żąda biletów do Rio Negro, urzędnik wymienia należną sumę.

– O, muito caro! – woła ksiądz odruchowo i chowa pugilares.

Kasjer wybucha gniewem, następnie usuwa księdza, i z trudnością dobiliśmy się biletów.

W wagonie ks. Anzelm, chcąc mi widocznie zrobić przyjemność, prowadzi rozmowę literacką:

– Czy czytał pan Zolę?

– ?

– Nie zna pan? To Żyd, mason, podobno pisze i układa gazety, rząd wypędził go z kraju.

– Za co?

– Za masonstwo... chciał napisać i publicznie drukować Fertile Évangile, o, to znany mafia, łajdak, tak nazwać świętą Ewangelię... u nas zlinczowanoby takiego zbrodniarza...

Słuchając oburzeń na tego masona, który, jak donoszą „nasze gazety”, pisze jednak „niezgorzej”, patrzę przez okno na rozległe stepy, poprzeryzane parowami, z gajami podszytej araukarii, z trawą ostrą, bujną, kupkowatą, z licznymi, do dwóch metrów wysokości, kopcami termitów. Ptactwa bardzo mało, tylko wielkie jastrzębie, to się ważą pod jasnym niebem, to leniwo podnoszą się z ziemi.

Kiedy niekiedy gdzieś w oddali błysnie dom fazendera; czasem wstrzyma się pociąg, by przepuścić stado bydła, wielkie krowy z rogami nadmiernymi, ku sobie zwiniętymi, pyszne i dumne stadniki, rosłe cielaki, ssące jeszcze, a wszystko popędzane przez konnych pastuchów, w towarzystwie psów małych, złych, z lisimi pyskami. To znów zadudni ziemia od stada mułów lub koni, lecących na oślep w step szeroki. Nie jest to step ukraiński, bezbrzeżny, z falującą roślinnością; przypomina raczej Podole swymi parowami i żółtoczerwonawą, czasami czarną glebą.

Jesteśmy na stacji, wszystko jedno jak się nazywa, Araucaria czy Guajuvira, na każdej tuż za budynkiem kolejowym bufet.

Jest to budka zbita z tarcic nieheblowanych, z ładą pierwotną na słupku, a na niej kilkanaście filiżaneczek do czarnej kawy, już osłodzonej, nalewanej z wielkiej blaszanki; na przekąskę biszkoptowe ciasto – oto wszystko co daje stacja za stosunkowo drogie pieniądze. Przy budce zawsze ścisk, gwar, potracania, wrywają sobie filiżanki, byle dostać się do kawy.

Jedziemy pierwszą klasą, bowiem na kolejach brazylijskich istnieją tylko dwie klasy: I i II, tym się różniące, że w II są podłużne ławki z desek, a w I wyplatane. Mimo okien otwartych na przestrzał gorąco, duszno, zwłaszcza gdy wsiedli caboclos, wszyscy boso, co najwyżej w patynkach; zapach potu

końskiego, czosnku, tłuszczu i brudu drapie w gardle, męczy, staje się nieznośny.

– Niech się pan nie wychyla, to niebezpiecznie... Zamknę okno! – grozi ze słodką powagą ks. Anzełm.

Wreszcie Rio Negro, mała miejscina nad spławną rzeką tegoż nazwiska, z ludnością przeważnie brazylijską, w bliższych okolicach kolonie niemieckie.

Do Luceny jeszcze trzydzieści trzy kilometry końmi, i po długich dopytywaniach, odnajduję zajazd Luceniaków u Andrégo, Żyda z Rosji, udającego niezgorzej, naturalnie Brazylijczyka. Wynajmuję wielką budę towarową, należącą do kolonisty Polaka, zaprzęzoną w cztery wcale dobre konie.

Przed naszym wyjazdem raniutko na drugi dzień zjawia się w zajęździe młoda kobieta, żona pracującego przy kolei i prosi naszego furmana, rośłego, silnego szatyna z brodą, o podwiezienie jej do rodziców.

– A proście pana – i zwraca do mnie przyjemną twarz, ze szczerym, dobrym uśmiechem.

– Spytałem księdza, pewno pozwoli.

W głębi, pod budą płócienną, siedzi ksiądz Anzełm; usłyszawszy propozycję, zawołał z energią, której nie przypuszczałem:

– Co? Ja? Ksiądz? Z kobietą?!

– Spieszno jej do rodziców...

– Nie, nigdy, niech zostaje, niech idzie pieszo, ale nie ze mną!

– Tyle miejsca...

– Wiem ja, wiem, do czego prowadzi kobieta! – woła z błyszczącymi od gniewu oczyma. – Wszystko złe od niej... wybieraj pan: albo ja, albo ona!

Jedziemy, a gdy się udobruchał, pytam o przyczynę tej niechęci.

– Bo ja znam świat... zaczyna się od rozmowy, potem żarty, zgorszenie, Sodoma i Gomora! – aż pobladł z oburzenia.

– Ale tu nie było tego niebezpieczeństwa, a ona się zmęczy, tyle kilometrów.

– Lepsze zmęczenie od pokusy i grzechu – odpowiedział twardo.

– A wy dawno w Brazylii? – pytam woźnicy.

– Idzie rok dziewiąty.

– Jakże wam się powodzi?

– Chwała Bogu nieźle, szakier (portug. chacra, własność ziemską) jest, chudoba także, to i co ma być źle?

– Więc wam dobrze?

– Dobrze, niedobrze: jeść jest co, ale o pieniądze trudno. U wendysty (sklep) wszystko dostanie, ale wszystko za żyto, za milię (portug. milho, kukurydza), za ziemniaki...

– To już byłoby lepiej sprzedać...

– I komu? Taki wendysta także nie ma pieniędzy, i on za towar daje towar. I to najgorsza bieda, bo trudno oszczędzić. Czy myśli pan, że złakomiłbym się na te dwadzieścia pięć milrejsów, gdyby to nie gotówka?

– Zawsze to dobry zarobek...

– Lepiejby mi było zawieźć towar do wendy, ale gotówka gotówką.

– To tak trudno o pieniądze w Brazylii?

– A skąd ma być, kiej tylko my robimy, a te Brazyłuchy po mieście patrzą tylko rządowej kasy!

– No, nie wszyscy...

– Pan myśli o „borowych” (Brazylijczyk mieszkający na wsi, pod borem caboclos). – Uśmiechnął się: – Taki nie imię się żadnej roboty, on wszystko bierze w wendzie na herwę (gatunek herbaty brazylijskiej) – i wskazał batem liczne drzewa przy kolonii niemieckiej.

Drzewo to (*Ilex paraguensis*) średniej wysokości, z korą szaro-białawą, którego liście jajowate, obcinane co cztery lata z gałązeczkami, dają herbatę, zwaną herwa matte, rozpowszechnioną i używaną w południowej Ameryce.

– A wy macie herwę?

– Mamy, ale jak nam co trzeba u wendysty, patrzymy na ręce i idziemy na robotę; a taki borowy będzie marł głodem, a nie pójdzie. On patrzy herwy.

– Cóż siejecie?

– To, co i u nas. Koło domu warzywo, a dalej ziemniaki, żyto i milię.

– Powinniście sadzić bawełnę – zaczyna ksiądz Anzelm i długo, szeroko, rozwlekłe opowiada o korzyściach bawełny.

Chłop słucha, potakuje duchownej osobie, ale swoją drogą mówi na każdy zarzut:

– My znamy się z tym, co siejemy; może tamto i lepsze, ale co swoje, to swoje.

Zajeżdżamy na popas do wendysty Niemca, który swoją główną izbę przyozdobił portretami całej generacji Hohenzollernów i jaskrawo kolorowanymi arkuszami żołnierzy pruskich.

Przed nami las po obu stronach drogi mieni się odcieniami zieleni.

Chcę wreszcie być sam, biorę rewolwer i idę naprzód. Po chwili

słyszę tupot pospiesznych kroków, odwracam się: to poczciwy, dobry ks. Anzełm, który dysząc ciężko, mówi z przerwami:

– Oddaj pan rewolwer... oto łaska kochanego pana, to lepsza broń na węża... oddaj pan... albo lepiej ja pójdę z panem, trzymaj pan rewolwer, a ja łaskę, łatwiej się obronimy.

– Wróćmy chyba do fury; tam będzie najbezpieczniej.

– To samo chciałem powiedzieć; wracajmy, o! bo z wężami nie ma żartów, to chytry gad.

Usiedliśmy, jedziemy dalej drogą niemożliwych wybojów, w których cuchnące błoto sięga koniom po tebinki, wóz piszczy, słania się, trzeszczy.

– Niech się ta ksiądz dobrodziej nie boi, nie wywrócę; albo mi to pierwszy raz jechać?

– U nas w Texas są doskonałe drogi, nie takie okropne.

– Ja do takiej z maleńkości przywykły, akurat od mojej wsi do Włocławka była taka droga, ino mosty gorsze.

– To wy spod Włocławka?

– Dlaczegoż by nie? – westchnął pełną piersią, zaciął konie i zwrócił się do mnie: – A pan z Polski? To może znajomy w Dębnikach?

– Słyszałem...

– Czasem, jak człowiek wspomni, to ino zęby zaciska i aż ręce świerzbą na tych Brazyluchów, co lud zmanili tutaj, w te puszcze.

– To wróćcie do nas.

Spojrzał, zaśmiały mu się oczy, potem westchnął i rzekł półgłosem:

- Już ja niedopasowany... Hej, siwy! Wio, kary!
 - Więc nie chcecie wrócić? – dopytywał się ksiądz.
 - Chcę, nie chcę? Albo to jedno człowiek chce, a jak nie może, to i nie poradzi. Już ja tam niedopasowany.
 - Jak wam tu dobrze, to zostańcie – doradzał ksiądz.
 - Iii... źle by nie było, aby tylko był jaki rząd a porządek: masz recht, rób sobie sam sprawiedliwość, a nie masz go, to i tak nic ci nikt nie zrobi, abys miał fakę (faca de mato po portug.: nóż do lasu, kordelas) – i uderzył po długim nożu w pochwie, zatknętym za pasem.
 - Ludzie powinni żyć w zgodzie i miłości chrześcijańskiej – zaczął ksiądz tonem kaznodziei.
 - Niby to tak, ale z Brazyłuchami inaczej.
 - Od tego jest kościół, a jakże u was z parafią?
- Spojrzał trochę niedowierzająco, trochę ironicznie na księdza, mówiąc:
- A przyszedł ci tu do nas niby ksiądz, czysto wygolony, jak dobrodziej, pobożny, przykładny, a gadał tak, że zaraz ujął wszystkie baby...
 - I co?
 - Ano, siedzi w parafii, bierze na msze święte, spowiada, daje śluby, wszystko przykładowie, aż tu mówią ludzie... Wio, siwy! Ten bestia zawsze leniwy!
 - Cóż mówią ludzie?
 - Mówią, że to nie jest nasz ksiądz, ale taki obieżyświat, pono w Ameryce wyświęcony.
- Ksiądz Anzelm drgnął, przybladł i zaczął gorliwie:

– I w Stanach Zjednoczonych są zacni biskupi i księża, prawdziwi katolicy... A jak on się nazywał?

– Ksiądz Pilszak... Wymanił on od ludzi sporo milrejsów, aż go biskup wypędził i dał nam naszego, sprawiedliwego księdza. Co prawda, nie chciały baby puścić tamtego, a temu odgrażały, ale poradziło się babom i jest spokój.

W rzeczywistości ksiądz Pilszak, należąc do kościoła niezależnego, objął w kwietniu 1899 roku Lucenę, rozkazu biskupa opuszczenia parafii nie chciał usłuchać, a przysłanych wysłanników, trzech księży, koloniści w obronie swej niezależności parafialnej przyjęli zbrojnie i nie dopuścili do kościoła; wówczas biskup, korzystając z bytności w Kurytybie ks. Cezarego Wyszyńskiego z Królestwa, wysłał go w listopadzie 1899 r. do usunięcia ks. Pilszaka i objęcia parafii.

W mieście Rio Negro administracja wojskowo-policyjna ofiarowała księdzu Wyszyńskiemu pomoc swoją, której nie przyjął, mówiąc:

– Polski ksiądz do polskiego ludu idzie z krzyżem.

I istotnie wystarczyło jedno przemówienie, aby koloniści sami usunęli wdziercę i oddali klucze ks. Wyszyńskiemu.

Jest to jeden i jedyny z księży polskich w Paranie, przed którym uchyli się czoło z szacunkiem szczerym; inni są aż nadto jaskrawo grzesznymi ludźmi, a parafianie, od których jedynie zależy obsadzanie probostw, znoszą ich błędy z szemraniem, ale znoszą, bo nie ma innych.

Naprawdę nie wiem i nie rozumiem powodu, dlaczego i w jakim celu tak pewne gazety, jak i niektórzy podróżnicy rozpisują się szeroko i robią reklamę tutejszej rzekomo inteligencji w Paranie. Poznałem mniej więcej wszystkie osoby wymienione w książkach; prócz kilku pracowników na chleb reszta przy najlepszej chęci, przy bardzo skromnych wymaganiach, za inteligencję nie może uchodzić.

Jedną, jedyną prawdziwą inteligencją, z którą rachować się należy i trzeba, są tutejsi koloniści-chłopi. Nadmierną pracą dążą do utrwalenia rozwoju i bytu materialnego, czują, wbrew pewnym ludziom i agitatorom socjalistycznym, swą odrębność narodową, pragną szkół i kształcenia praktycznego, bez oglądania się na pomoc czyjąkolwiek, a przede wszystkim wierzą w siebie i w swoją przyszłość.

Ciąg dalszy nastąpi

Autorstwo: Artur Gruszecki

Źródło drukowane: „W kraju palm i słońca. Wrażenia z podróży”,
Księgarnia Wydawnicza J. Czerneckiego w Wieliczce, Kraków

Źródło internetowe: WolneLektury.pl

Licencja: [CC BY-SA 4.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/)